

Opowieść o tym, jak stałam się stalinistką i jak z tego wyrastałam

Drogi, Kochany Piotrze, nie potrafię wystowić, jak bardzo cenię Twoją osobę, Twoje wszechstronne talenty, krystalizujące się w tak różnorodnych i świetnych dokonaniach, a mam tu na myśli zarówno Twoje czyny, takie jak współpraca z rosyjskim Memoriałem czy wydawanie „Nowej Polski”, jak i twórczość – poetycką, literacką i naukową, nie zapominając o Twoim wkładzie w teatrologię, bezcennych odkryciach historycznych i niezawodnym węchu szperacza. Pamiętając, że złożone dzieje polskiej i rosyjskiej inteligencji, odmalowywane przez Ciebie w świetnych portretach jej przedstawicieli, są Twoją sekretną pasją, na Twoje 60. urodziny przepisuję dla Ciebie opowieść, którą znalazłam w prywatnym archiwum...

Lublin, 5 V '72. Próba określenia „swoich mistrzów” nie może obyć się bez wartościowania cudzych postaw i przemyśleń. Zakłada przy tym pewną dawkę megalomanii: człowiek podejmujący trud takich uściśleń uznaje się przecież za „ucznią”, a jest to relacja, która słusznie może spotkać się z zarzutem niedorastania do miar ani też, niekiedy, nawet do możliwości intelektualnego podotkania propozycjom mistrzów.

A jednak, choć w każdym sensie uznaję się za uczennicę mierną, coraz wyraźniej odczuwam potrzebę takich dookreśleń.

Wynika ona zapewne z szukania ścieżek własnych, a też z niewystarczalności nauk w szkołach, przez jakie dane mi było się przewinąć.

Myślę, że były co najmniej dwie takie szkoły; udało mi się też podejrzeć lekcje w innych *alma mater*.

Mam tu głównie na myśli szkołę zaangażowania totalnego w imię idei społecznej: nie przeszłam jej do końca, intuicyjnie poznałam ją w liceum i wcześniej jeszcze – gdzieś w okolicach klasy czwartej szkoły podstawowej. Byłam wtedy wdzięcznym uczniem lekcji stalinowskiej. Chłonełam te nauki w dniach triumfu Października 1956 roku: przez lektury i nauczycieli, którzy od pierwszej klasy wpajali nam klasowy punkt widzenia na bajki Krasieńskiego, fraszki Reja i Kochanowskiego. W dniach, kiedy runęły schematy, lękali się wykroczyć przeciw nim w ustalonych interpretacjach szkolnych lektur. Być może nie znali innych, być może obawiali się nawrotu dawnego ducha, być może wreszcie odstraszała ich moja bezwzględna wierność tamtemu myśleniu: szkoła, do której chodziłam, nie była dobra, nauczyciele byli z rzutu powojennego, polonistka, uczestniczka w latach harcerskich powstania warszawskiego, darzyła mnie wyraźną sympatią – sądziłam, że ze względu na moje przymioty pierwszej literaturoznawczyni w klasie; dziś myślę,

że raczej wiedziała, jakie stanowiska zajmują moi rodzice, i mogła przypuszczać, że mój klasowy instynkt wpojono mi w domu.

Pamiętam wybuch ojca, kiedy pokazałam mu z dumą swój artykuł do gazetki ściennej. Pisałam o konieczności szacunku dla pracy woźnych, apelowałam o chodzenie w kapciach. Moja walka z modnymi wówczas wśród nas trampkami była wkładem do walki klasowej przeciw nawykowi burżuazyjnego lekceważenia trudu pracowników fizycznych. Zdaje się, że z dużym nerwem naświetlałam klasową istotę tego typu niesocjalistycznych zachowań moich kolegów (sama też chodziłam w trampkach, ale od tej pory przestałam). Ojciec wyrwał mi artykuł z rąk i zażądał, abym go zniszczyła. Nie pojmowałam dlaczego, byłam urażona w najintymniejszych uczuciach twórcy do swojego dzieła. Interweniowała mama. Wyraźnie łagodziła; dziś nie wiem: ze względu na mnie czy też dlatego, że była jednak jakoś po mojej stronie? Padły słowa, których nie rozumiałam. Ojciec użył wyrażenia „partyjna sekutnica”. Losów artykułu nie pamiętam. Zapamiętałam werdykt rodziców: tekst był dobrze napisany, ale przesadny. Ojciec nalegał, żeby wykreślić z niego całą „klasowość”. Zostałby więc tylko jednozdaniowy apel o nienoszenie w szkole zabronionego obuwia.

O tym więc, że Turgieniew w noweli o miłości niemego chłopca do psa wyraża przeświadczenie, iż ludzka uczuciowość cechuje wyłącznie wyzyskiwanych i uciśnionych, a liczne bajki o zwierzętach mówią w istocie o losie klas eksploatowanych i ich dojrzewaniu do rewolucji – dowiedziałam się w szkole. A może byłam tylko na tyle chłonna, że powszechnie obowiązujący schemat stosowałam twórczo na użytek domowych wypracowań całkowicie dobrowolnie. W każdym razie nigdy nie spotkała mnie za to krytyka w szkole.

Dziś, kiedy wspominam tamte swoje wytwory, przeżywam paroksyzm wstydu. Pozwala mi to zrozumieć stosunek dzisiejszych postarzałych „pryszczatych” do swej dawnej twórczości. Nie czuję się od nich czystsza, choć pewnie mogłabym się tłumaczyć wiekiem – mówię o uczennicy szkoły podstawowej. Ale trudno w ten sposób tłumaczyć się przed sobą.

Gdzieś w klasie dziesiątej przeczytałam Dżilasa. I tym razem pamiętam reakcję: swoje oburzenie, opinię ojca i kolegów [z Klubu Raczujących Rewizjonistów Adama Michnika]. Byłam gdzieś pośrodku. Ojciec bardzo spokojnie wskazywał na zasadniczą niesłuszność też Dżilasa. Ja, ukształtowana przez propagandowe stereotypy i przypadkowe lektury, akceptująca polską rzeczywistość przez odruchową afirmację otaczającego świata, nie znając doświadczeń ojców moich kolegów ani nawet doświadczeń własnych rodziców, uznałam w dużej mierze słuszność rozumowania ojca: nasze trudności są trudnościami kraju „na skraju przepaści”. Mamy małe możliwości manewru ze względu na powszechne braki, typowe dla okresu odbudowy, podczas której popełniono błędy i nadużycia wynikłe z naszego zacofania. Jednak wygrzebaliliśmy się z przepaści kapitalizmu. Jesteśmy na krawędzi. Potrzebna jest mobilizacja wysiłków, a nie krytyki. Prawdę o zagrożeniu trzeba znać, ale nie wpadać w defetyzm ani histerię. Rozumowanie Dżilasa to reakcja człowieka, który poczuł się przegrany i – widząc, że nie starcza mu sił na dalsze pchanie tego wózka – obraził się na tych, których nie odstraszały trudności.

Oddanie, umiar, surowość i wiara – oto, co jest potrzebne. Tylko maluczcy reagują jak Dżilas. Jego rozumowanie nie przekonuje, zawiera znacznie więcej luk niż teza o sytuacji „na skraju przepaści”, sycone jest uczuciem nienawiści i stałością: to człowiek, który potrafi istnieć tylko w raju, obraża się na trudy rzeczywistego życia i zawsze musi być z kimś: przegrany na dotychczasowej drodze, porzuca towarzyszy i raju szuka w kapitalizmie. Zdaje się, że najbardziej zraziła mnie do niego niewierność sobie, niewierność ideałom człowieka Conrada, nieulekłego bohatera eposów socrealistycznych i amerykańskich westernów. Już wtedy wpisywałam do pamiętników przyjaciółek pod pytaniem o to, co najbardziej cenię – „wierność sobie”. Nie sądzę, żebym rozumiała wówczas argumenty Dżilasa i abym mogła z nim polemizować merytorycznie. Ważne były odczucia. Uzupełniały je schematy, które chłonełam z gazet, książek, wspomnień rewolucjonistów, sama o tym nie wiedząc.

Andrzej D., z którym czytałam tę książkę, nie był tak silnie związany z zasadami umysłu kierującego się znajomością jedynej prawdy. I on znalazł u Dżilasa nowy rodzaj myślenia. Ja odrzucałam go całkowicie. On się zastanawiał, uznawał równorzędność punktów widzenia (dla mnie było to osobistą obrazą). Nie miał jednak żadnych argumentów. Nie miał też zdania. Ja zaś – wiedziałam.

Kiedy byłam jeszcze w tej samej klasie, a może następnej, wybuchł strajk pielęgniarzek. Rozmawiałam o nim w Domu Wypoczynkowym Urzędu Rady Ministrów „Telimena” w Zakopanem. Moje rozmówczynie, koleżanki z klasy, z którymi zaprzyjaźniłam się w szkole, były – lękliwie i niezdecydowanie – po stronie strajkujących. Ja, urażona do żywego – przeciwko. Moim zdaniem ten zawód, podobnie jak w przypadku nauczycielek i zakonnic, był sprawą powołania i odpowiedzialności. Człowiek, który go obiera – wie, co go czeka. Wybór determinuje go bez reszty, bo już w nim musi się zawierać element świadomego wyrzeczenia i poświęcenia. Wojna, głód, nędza, mąż, dom i dzieci – to sprawy wliczone w cenę dokonanego wyboru. Człowiek, który wziął na siebie krzyż tego zawodu, nie ma moralnego prawa do odmowy jego wykonywania pod wpływem rozczarowań związanych z pogarszającymi się warunkami pracy.

Bardzo wtedy krzyczałam. Pokój był koło jadalni i świetlicy. Wszyscy przechodzący musieli mnie słyszeć. Nie wiem, czy nie byłam wtedy najbardziej fanatyczną przeciwniczką strajkujących w tym doborowym, partyjno-rządowym towarzystwie. Jest to kolejny policzek, który otrzymuję na wycieczce w krainę własnej przeszłości.

Tak oto w latach szkolnych nieświadomie przeszłam szkołę dogmatyzmu i fanatyzmu typu stalinowskiego. Byłam może ostatnią jej adeptką. Na pewno najmłodszą. Wspierałam się na szczeble wtajemniczenia w ideologię nienawiści i rasizmu społecznego. Daje mi to intuicyjne wyobrażenie mnie samej – jako fanatycznej ZMP-ówki lat 50., bezpieczniaka z Rakowieckiej i Łubianki, propagandzisty partyjnego tego okresu, depozytariusza praw i racji klasowych, wroga i pogromcy – w imię słuszności procesu dziejowego – Stefana Ossowskiego, Heleny Radlińskiej, Tadeusza Kotarbińskiego. Nie czuję się lepsza od ówczesnych zaangażowanych – psychicznie byłam kiedyś jednym z nich. Gdybym była ich rówieśnicą, kto wie, czy nie byłabym w tym gronie najradykałniejsza. Tę prawdę

o sobie samym trzeba znać. Nie wiem, jakie miałabym hamulce. Może powstrzymywałoby mnie to, że nie lubię zabierać głosu i nie potrafię bić. Ale wiem, że moje wypracowania szkolne, moja nieintensywna bynajmniej działalność w ZMS dały mi przedsmak cudownej łatwości walki z kimś anonimowym i nieznanym, wzlotów świadomości przenikającej zamysły wroga, uniesienia i zapatu słusznej walki, i sprawiedliwego niszczenia innych poglądów i ich reprezentantów, ekstazy dążenia w braterstwie dusz podobnych do świetlanej przyszłości po trupach gorszych, głębszych, niechętnych i obojętnych; dały mi przedsmak braterstwa zaślepionych uświęconym celem. I tej prawdy o sobie nie chcę zapomnieć, mimo że nigdy nie była rzeczywistością. Diabeł może się ocknąć w każdym. Dlaczego nie we mnie? Bieg historii, łaska późnego urodzenia oszczędziły mi tego, ale wiem, że w jednym ze swych wcieleń byłem stalinistką. I dlatego obserwacja odradzania się odruchów wyuczonych w takiej lekcji jest dla mnie istotna. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł poczuć się zwolniony ze śledzenia tych poruszeń w sobie i wokół siebie. Nawet najbliżsi nie są na nie dożywno i z urodzenia uodpornieni.

Moja umysłowa wolta w czasie, gdy zetknęłam się z listem otwartym Kuronia i Modzelewskiego, nie miała charakteru radykalnego zerwania z przeszłością. Byłam na pierwszym roku studiów. Postugiwałam się wciąż marksistowskim sposobem widzenia świata, w którym pojawiały się niektóre tylko problemy i niektóre tylko strefy rzeczywistości ludzkiej i społecznej, nabierając znaczenia spraw jedynie ważnych, a nawet – jedynie rzeczywistych. Intelktualnie – był to okres fascynacji jednym rodzajem zagadnień. Przechodziły zwycięsko przez selektywny filtr marksizmu tylko kwestie makrostruktury społecznej i pewnego nurtu historii. Studiowałam socjologię, wciągało mnie cyzelowanie narzędzi służących do jedynie interesującej – uważałam, że najlepiej wyjaśniającej – interpretacji rzeczywistości społecznej. Łamigłówa, dość twórcza z punktu widzenia samej lekcji marksizmu, gdyż idee sprawiedliwości i alienacji należało zweryfikować doświadczeniem życia potocznego, *praxis*, co automatycznie prowadziło do odrzucenia propagandy i zakwestionowania oficjalnych interpretacji, czyli ideologii. Pociągnęło to za sobą budowanie legendy własnej orientacji: rewolucja rosyjska, marksizm austriacki, zręby historycznej koncepcji dyktatury proletariatu, humanistyczny socjalizm, nieoficjalna historia Rosji i Polski, niemiecki i włoski antyfaszizm, Październik i Węgry 1956 roku, model jugosłowiański, modele gospodarcze, położenie klasy robotniczej w krajach realnego socjalizmu, wyklęta poezja i dzieła Miłosza, literatura emigracji i podziemia. Najważniejsze momenty: marksizm na nowo odkryty (mówiono wtedy o młodym Marksie i postulacie Róży Luksemburg dotyczącym wprowadzenia demokracji parlamentarnej po rewolucyjnym zrywie) i wciąż dogmatyczny stosunek do rzeczywistości ze względu na procedurę wyrowadzania jej z apriorycznie przyjętego systemu, uzgadnianie go z garścią informacji i bolesnymi doświadczeniami; krzepnięcie wrażliwości etycznej, dla której kwestie wierności sobie i niesłusznie uwięzionym, nienawiść do przemocy i „wyższych konieczności” – były pewnie najważniejsze. Ten okres w życiu umysłu nazwałabym szkołą dogmatyzmu oświeconego. (...)

Jednocześnie: zetknięcie z psychologią społeczną, myślą Ossowskiego, Kołakowskiego, Szackiego; szok związany z odkryciem klasycznej definicji prawdy, wielości pytań, dróg, odpowiedzi i nauka rzetelności myślenia i nieulękłej postawy. Dogłębne przeżycie iluzoryczności dialektyki i wszelkiego relatywizmu filozoficznego (strukturalizmu, funkcjonalizmu, psychoanalizy, etc., etc., ówczesnie najmodniejszych w naukach społecznych). Lektura Gombrowicza i Miłosza. (...) Na KUL-u zaś opanowanie podstaw metafizyki, zwłaszcza u Arystotelesa i w tomizmie.

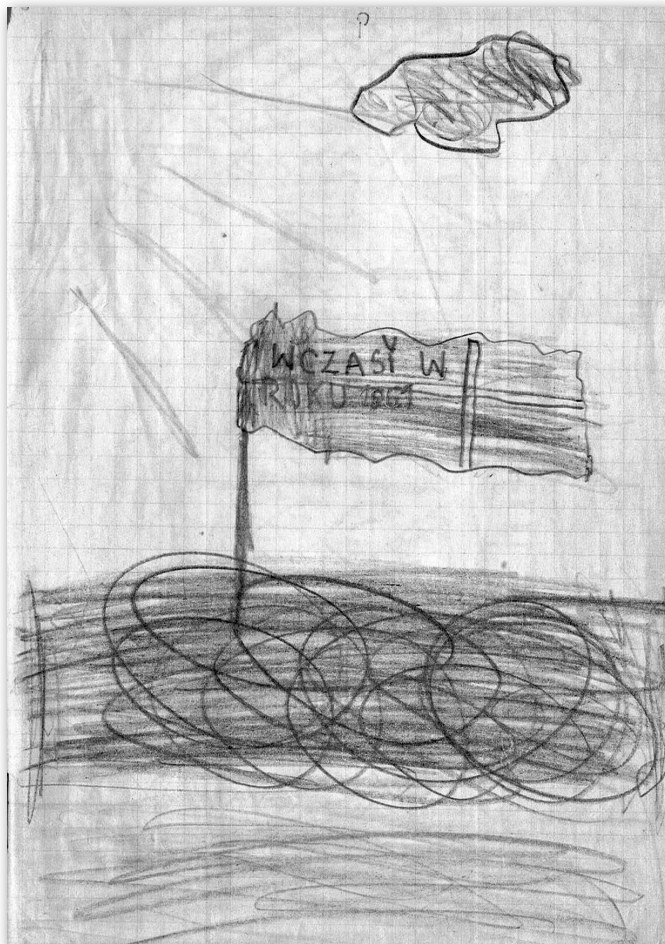
Jeśli na podstawie takich przemyśleń miałabym dziś określać swych mistrzów, to najpełniejsze odpowiedzi na nurtujące mnie problemy znajduję w niektórych propozycjach Kołakowskiego, Fromma, Strzeleckiego dotyczących kwestii, którą określiłabym jako sprawę antropocentrycznego modelu etyki. Byłaby to etyka człowieka wolnego, otwartego na świat i ludzi, dla której wartości miłości, braterstwa, twórczej samorealizacji i osobistej odpowiedzialności za świat, w jakim żyć przyszło, byłyby pewnie najważniejsze. Rymowałoby się z tym wyczulenie na formy wszelkiej nietolerancji i wrogości wobec inaczej myślących i inaczej żyjących. Byłaby to postawa „wcielania” wartości przez własne czyny i odrzucania fanatyzmu oraz uprzedzeń w stosunku do innych. W wymiarze aksjologii byłyby to wartości bliskie modelowi etycznemu chrześcijaństwa. W sposobie realizacji tej postawy – postulat otwartości i szacunku dla postaw odmiennych. W wymiarze społeczno-ideologicznym – koncepcja socjalizmu humanistycznego, gdzie abstrakt klasy nie przesłaniałby człowieka.

Sądzę, że Kołakowski choćby w *Etyce bez kodeksu*, Fromm w *Ucieczce od wolności* i *Szkicach z psychologii religii*, Strzelecki w *Zapiskach, Kontynuacjach i Próbach świadectwa* formułują wspólne zręby świeckiej wersji etyki, w której Bóg nie odstrasza ateistów. Potrzeba myśli etycznej wciąż jest niezaspokojona na gruzach marksizmu. W tych przemyśleniach znajduję jej zręby.

Za mistrzów w dziedzinie postaw życiowych uznałabym Jana Józefa Lipskiego z jego niezachwianą tolerancją i nieskażonym sumieniem, z jego nieustającą troską o innych i wiernością przegranej stronie we wszelkich kolejnych odmianach losu – łącznie z jego umiejętnością przebaczenia i zapominania.

Potrzebę opracowania personalistycznej etyki i analizy społecznej uznam za problem najważniejszy. Człowiekiem, który pod każdym względem był do tego zadania powołany, pozostaje wciąż Ossowski. Myślę, że historia, serwując nam obraz degrengolady marksizmu oraz unaoczniając jego niewystarczalność zarówno w aspekcie analiz społecznych, jak i indywidualnych potrzeb ludzkich, dała nam szansę wypełnienia tej luki. Należałoby w tym względzie nawiązać kontakt z dorobkiem humanistycznej myśli demokracji mieszczarskiej i otworzyć się na dziedzictwo kultury chrześcijańskiej. To ono właśnie dostarcza tych wartości i symboli, których wcielanie w życie uznajemy za nasze zadanie, a wierność im każe żyć na miarę pierwszych chrześcijan. Religijny stosunek do świata daje się bowiem przełożyć na język bezpośrednich wrażeń. Jest to przecież w obu wersjach ten sam mit o człowieku zbawiającym siebie przez zbawianie świata, mit o człowieku,

który wykracza poza siebie w miarę swych twórczych możliwości. Kultura staje się ich namacalnym świadectwem, a podejmowanie odpowiedzialności za jej kształt to zrozumiała dla nas, ubogich duchem ateistów, forma transcendencji.



Piotr Mitzner